

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 7 Marek.

Rok XVII. Kraków, 12 czerwca 1920. Nr. 24.

Akcya generała Szeptyckiego na Rzeczyce



Generał Szeptycki (×) dowódca frontu północno-wschodniego, z kilku oficerami ścisłego sztabu w polu.



Akcya Generała Szeptyckiego na Rzeczyce: 1) Dowódca armii gen. Szeptycki rozmawia z adjutantem Naczelnego Wodza por. Olszamowskim (2), który przywiózł mu od tegoż odręczne pismo. W pobliżu stoją 3) książę Lubomirski. 4) major Kozłowski, szef kolejnictwa polowego frontu i 5) szef sztabu grupy poleskiej podpułkownik Wolikowski.

Akcya Generała Szeptyckiego na Rzeczyce.

(Osiągnięcie linii Dniepru).

Pod tym tytułem podajemy dziś szereg zdjęć fotograficznych, illustrujących wyprawę naddnieprzańską znakomitego wodza polskiego, który jak ostatnio doniosły depesze Pata objął z rozkazu Naczelnego Dowództwa komendę nad całym frontem przeciwrosyjskim na północn.-wschodzie, a więc właśnie na linii najbardziej zagrożonej przez ofenzywę nawałnicy bolszewickiej. Podporządkowanie generałowi Szeptyckiemu kilku armii jest dowodem wysokiego zaufania do jego wypróbowanego talentu i fachowości strategicznej i organizacyjnej, wysuwa się także równocześnie jako fakt pierwszorzędnego znaczenia, skoro, zważymy, że jednolitość dowództwa wobec tak olbrzymich wprost obszarów decyduje o powodzeniu wielkich pociągnięć na szachownicy wojennych wypadków.

Atak i akcya na Rzeczycę, dla osiągnięcia linii Dniepru, jest nowym laurem wawrzynu, jakim okrył się generał Szeptycki i jego dzielne wojska. Zadanie nie było łatwe. Bolszewicy skoncentrowali na tym odcinku całe masy rezerw (między nimi 3 doskonałe dywizye 10,47 i 57) zamierzali bowiem odciąć ważny węzłowy punkt Kalinkowicze i odzyskać tu, te przynajmniej pozycye, które kosztując ich przeszło 40 milionów rubli przedstawiały się jako dobrze obmyślona linia strategiczna, nadająca się świetnie do rozpoczęcia ofenzywy na tym odcinku. Generał Szeptycki oceniając dobrze, jak zawsze zresztą, nowo wytworzoną sytuacyę, swoim zwyczajem uprzedził znowu zamiary bolszewików i rozpoczął dobrze maskowany atak nad Dniepr. Akcya jego wiązała się doskonale z akcyą na Kijów, opanowany bowiem został Dniepr odrazu na znacznej przestrzeni, równocześnie zaś front wschodni zyskał naturalne oparcie o cały bieg rzeki Berezyny, która w pobliżu Gorwala uchodzi do Dniepru.



Akcya Generała Szeptyckiego na Rzeczyce: Stacya Wasilewicze w dwie godziny po zdobyciu jej przez wojska polskie.

Cała akcya ujęta była bardzo pomysłowo i przeprowadzona dzięki osobistemu kierownictwu wodza na miejscu bardzo precyzyjnie.

Wykonanie planu, powierzone wojskom dzielnego generała Sikorskiego, w ogólnym zarysie wyglądało następująco:

„Na całej linii Dniepru od ujścia Berezyny pod Gorwalem, aż poza Łojew znajdował się jeden zaledwie most kolejowy, który należało za wszelką cenę opanować jak najszybciej, na tem bowiem mogła tylko polegać niespodzianka dla bolszewików. Chodziło o to, aby atakując Rzeczycę zmusić równocześnie wojska czerwonogwardzistów do bitwy i przez ostrożne obejście południowego ich skrzydła zamknąć im jedyną możliwość ucieczki przez Dniepr. W tym celu przeznaczono t. zw. grupę południową, nad którą objął dowództwo młody lecz świetny oficer legionowy major Łuczyński (Narbut). Maszerując od Chojnik oddziały jego przebywszy w dwóch dniach 90 wiorst i stoczywszy 7 bitew (najkrwawsza pod Wólczą Górą) zajęły brawurowym atakiem Rzeczycę i obsadziły most na Dnieprze. Równocześnie przełamując 11 linii okopów przebijała się, wolno lecz systematycznie, grupa środkowa od Nachowa i Wasilewicz, która demonstrowała początkowo wypad, koncentrując cały czas na sobie uwagę nieprzyjaciela, parującego ciosy pociągami pancernymi i artyleryą.

Podczas gdy obie te grupy rozpoczęły akcyę w jednym dniu, grupa 1, t. zw. północna podjęła ją dopiero w dniu następnym, a to z tej racyi, aby nieprzyjaciela znajdującego się na bardzo obszernym terenie między torem kolejowym, a Berezyną nie płoszyć i nie pozwolić mu zoryentować się, czy atak podjęty wzdłuż toru kolejowego i na południe od niego wiąże się z jakąkolwiek ważniejszą operacyą, mającą na celu osiągnięcie Dniepru. Dopiero o świcie dnia następnego, gdy postępy grupy majora p. Łuczyńskiego dawały najbardziej idące prawdopodobieństwo osiągnięcia w tym dniu mostu na Dnieprze, ruszyły oddziały grupy północnej do ataku od strony Szacilek n. Chutor, Jelan i Jakimowskaja z głównym kierunkiem na Gorwal, mając przytem pewność, że nieprzyjaciel z braku mostów nie jest wstanie przekroczyć Berezyny.

Tymczasem zaś grupa południowa zdobywszy Rzeczycę i most na Dnieprze ruszyła na spotkanie cofających się z północy bolszewików — drogą na północ ku Gorwalowi.

I tu nastąpiła katastrofa dla bolszewików. Wzięta w dwa ognie 10 dywizya sowiecka i oddziały dywizyi 57, mając zamkniętą drogę do ucieczki zmuszone były do stoczenia kilku bitew, w których je kompletnie zmiażdżono tak, że przestały istnieć. Było to zwycięstwo jedno z pierwszorzędnych, jakie armii polskiej przypadło w udziale, bo przyniosło w rezultacie zdobycie linii Dniepru i całego biegu rzeki Berezyny. Major Łuczyński został podanym do odznaczenia krzyżem „Virtuti militari“.

mo.



Akcya generała Szeptyckiego na Rzeczyce Pociąg sztabowy dowódcy frontu, udekorowany zielenią w dniu imienin gen. Stanisława Szeptyckiego.

Polityczne odwiedziny.

Politycy i dyplomaci odznaczają się stale nadzwyczajną uprzejmością, której wzajemne dowody składają sobie zwłaszcza wtedy, gdy się między nimi coś psuje.

Tak było i wtedy, gdy francuski prezydent gabinetu Millerand wybrał się niedawno w odwiedziny do Anglii. Jako zastępca Clemenceaua, po objęciu po nim spuścizny, winien był wprawdzie wizytę swemu angielskiemu koledze, z którym razem zasiada w Radzie Najwyższej, było to zas tembardziej wskazanem, że w prasie światowej zaczęły się coraz częściej pojawiać wzmianki o tarciach



Akcya generała Szeptyckiego na Rzeczyce: Dowódca frontu gen. Szeptycki (1) wśród żołnierzy na placówce na „stacyi Deminchy leżącej na linii bojowej.

w łonie samej koalicyi. Należało temu oficyalni zaprzeczyć, a najlepszym środkiem ku temu była publiczna wymiana czułości.

Prasa miała racyę. Francuscy politycy skonstatowali z niezadowoleniem, że Lloyd George i Nitti zbyt przyjaźnie odnoszą się względem Niemiec, które znów ze swej strony widziały w tem, czując takie poparcie, zachętę do lekceważenia sobie traktatu wersalskiego i zwłóczenia z wykonaniem jego warunków.

I w kwestyach, odnoszących się do Polski, panowała rozbieżność między poszczególnymi przedstawicielami koalicyi, z czego nie omieszkali też korzystać nasi kochani sąsiedzi.

Okazała się zatem konieczna potrzeba, aby pan Millerand, celem przekonania świata, że koalicyjna maszyna funkcyonuje należycie, pojechał do Anglii.

I tak się też stało, zwłaszcza, że droga niezbyt daleka. Milleranda przyjęto bardzo serdecznie, omówiono wiele spraw i jak doniosły telegramy, skonstatowano, że polityka angielska i francuska idą tą samą drogą.

Widocznie jednak „coś się psuje w państwie duńskiem", gdyż znów zaczynają się odzywać głosy, że Millerand ma się zjechać z Lloydem George, rzekomo celem wspólnego zastanowienia się nad kwestyami, które mają wejść na porządek dzienny obrad konferencyi w Spaa.

Ofiara czeskiego bandytyzmu.

Jakie stosunki panują na Śląsku Cieszyńskim, tego dowodem zdarzenia, których widownią było Zagłębie Karwińskie w połowie maja. Bojówki czeskie, którym widocznie nie wystarczyło znęcanie się nad polskimi górnikami, zabrały się do inteligencyi polskiej i urządziły jej pogrom w Orłowej pod okiem „neutralnej" komisyi międzynarodowej, czułej tylko na krzywdy, jakie rzekomo cierpią Czesi od Polaków.

Aresztowały one 20 osób z inteligencyi polskiej i uwięziły je na strażnicy pożarnej. Za całość tych osób odpowiedzialny był burmistrz Martimec. Obstawił on strażnicę żandarmeryą, ta jednakże w południe odeszła. Wtedy tłum rzucił się na uwięzionych wywlókł ich i puszczał kolejno wśród szpaleru ustawionych czechów, którzy więźniów bili kijami. Gdy poszczególne osoby padały, podnoszono je, pędzono dalej i bito. Najbardziej znęcano się nad delegatem rządu polskiego przy Komisyi węglowej inż. Kiedroniem, którego pobito do krwi. Poraniony wyrwał się i biegł do kościoła. Czesi dopadli go jednak na schodach i tak pobili, że stracił przytomność. Nieprzytomnego bito dalej. Inż. Kiedroń leży obecnie w szpitalu w Orłowej. Ma on 5 ran na głowie.

Również ciężko pobito zastępcę kuratora zboru ewangelickiego p. Moswalda, księgarza p. Nowaka i p. Błachuta. Równocześnie napadnięto na bursę polską. Wychowanków pobito i uwięziono. Wkrótce potem wypuszczono ich, wieczorem jednak nowe bandy napadały na bursę i wychowanków rozpędziły. Podczas wszystkich tych zajść żandarmerya czeska zachowywała się biernie. Wojska koalicyjne nie pokazały się wcale!



Polityczne odwiedziny Lloyd George i M Millerand w Hythe.

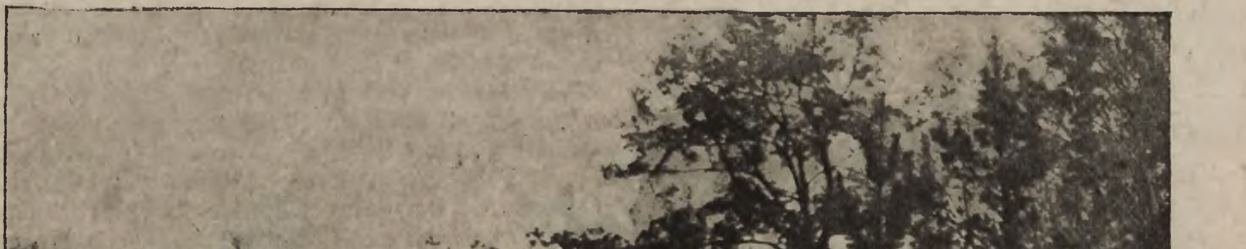
Prowokacye czeskie nie ustają, owszem wzmagają się z dnia na dzień. Twierdzą niektórzy, że Czesi chcą w ten sposób zmusić Komisyę plebiscytową zupełnie bezsilną, aby sama tego nie mogąc uczynić, poprosiła ich o „zrobienie porządku". A wojska ich czekają na wezwanie.

Ale wątpić należy, czy odniosłoby to pożądany skutek. Raczej wprost przeciwny, bo nie trzeba zapominać słów posła Zamorskiego, który publicznie oświadczył, że wojna z Czechami odbiłaby się w całej Polsce najsympatyczniejszem echem. A Czesi, wiadomo, znani są z... męstwa!

Z zajętego Kijowa.

Jedna z najwspanialszych budowli Kijowa postanowioną w najpiękniejszem miejscu, jest cerkiew św. Andrzeja, widna z daleka zbliżającym się ku miastu od strony Dniepru. Cerkiew ta jest obrazem budowli barokowej połowy XVIII wieku. Projekt, na życzenie carycy Elżbiety, wykonał nadworny architekt Włoch, Rastrelli, obdarzony tytułem hrabiowskim, autor wielu budowli carskiej stolicy.

W lipcu 1744 sama caryca położyła kamień węgielny pod cerkiew, ale roboty zaczęto dopiero w jesieni 1747 roku. Roboty prowadził zarządca miejscowego urzędu budowlanego brygadyer Własjew, mając do pomocy nadwornego moskiewskiego architektę Iwana Myczurina. Sam Rastrelli rzadko odwiedzał budowlę, ale stosowano się we wszystkiem do jego wskazówek z Petersburga, zwłaszcza że Elżbieta zajmowała się sprawą drobiazgowo. Przy budowie zajęci byli przeważnie cudzoziemscy robotnicy. Z zapisków „Moskiewskiego oddziału Ogólnego Archiwum ministerstwa carskiego dworu" widać, że samą budowlę wykonano w roku 1753 i przystąpiono do urządzenia wnętrza, przyczem pracowano pospiesznie, gdyż Elżbieta zapowiedziała swój przyjazd na poświęcenie cerkwi, które miało nastąpić w lecie tego roku. Sam Rastrelli wykonał rysunki rzeźb, ikonostasu, carskich wrót i bocznych drzwi, namiotu ołtarzowego i kazalnicy. Dla uzyskania na czasie rzeźby wykonano na miejscu w Petersburgu. Ołtarz zrobiono na wzór ołtarza Aleksandro-Newskiej Ławry, a w urządzeniu wnętrza wzorowano się na cerkwiach Carskosielskiej, Peterhofskiej i Dworca Aniczkowskiego. Namiot ołtarzowy i kazalnicę wyrzeźbili w drzewie Krzysztof Orejdach i Jan Zunfert, a ikonostas i carskie wrota Józef Domasz, a nadto przy tych pracach zajęty był rzeźbiarz Karłowski. Iwan Ewstifiejew przybył na miejsce do Kijowa, aby ikonostas pozłocić i wykonać ławkę dla carycy. Złocenie objęło tylko niektóre części ikonostasu, gdyż całość pomalowano barwą ciemno-czerwoną. Za radą mistrza pozłoty Levren'a, wewnątrz cerkwi pozłocono jedynie rzeźby gipsowe w kopule, a tło pozostawiono białe, podobnie jak w Carskiem Siole i Peterhofie. Malowidła wnętrza cerkwi wykonał malarz nadworny Antropow. Malowidło to znacznie ucierpiało, stosunkowo najlepiej zachowały się obrazy



Akcya generała Szeptyckiego na Rzeczyce: Chwilowe miejsce postoju sztabu generała Szeptyckiego. 1 Adjutant osobisty dowódcy armii por. książę Lubomirski, 2) por. Orlicz i 3 major Engel.

św. Piotra i Najśw. Panny, dobrze zachowało się w kopule, gdzie poznać można, że Antropow uległ wpływowi Rotari'ego, podczas gdy Wieczerza Pańska wyobrażona za wielkim ołtarzem znacznie ucierpiała. Na podobieństwo cerkwi Przeobrażenia w Pe-



Ofiara czeskiego bandytyzmu: Inż. J. Kiedroń z Orłowej, polski delegat do Komisyi węglowej w Moraw. Ostrawie

terhofie, na zewnątrz ściany pomalowano na zielono, a rzeźby gipsowe na biało. Kopułę cerkwi pomalowano na zielono, a krzyże i gałki pozłocono. Naczynia kościelne miała przywieźć sama caryca, a pająk kryształowy kazała zabrać z Operowego Domu. Tymczasem caryca wcale już nie przybyła, wobec czego zaprzestano zupełnie dalszego urządzenia cerkwi, a poświęcono ją dopiero w roku 1767. Naczynia kościelne zebrano z monasterów eparchii kijowskiej. Już w roku 1767 blaszany dach kopuły przeciekał, a ptaki wlatywały i wiły we wnętrzu cerkwi gniazda, nic więc dziwnego, że malowidło do tego stopnia zniszczało. Rastrelli chciał urządzić podjazd dla karet, ale nie można było uczynić tego dla braku miejsca, a zbudowano tylko drewniane schody, które zmieniono na istniejące do dziś żelazne. W latach 1894 i 1895 zmieniono sławną kopułę na „bizantyńską", przez co zeszpecono całą cerkiew, a choć niebawem przywrócono jej dawny wygląd, to nie zdołano nadać jej tej lekkości, którą niegdyś się odznaczała; pierwotna kopuła blaszana miała wydatnione miejsce połączeń kawałów blachy, gdy dziś cała jest gładka.

Cerkiew św. Andrzeja bywała dwa razy odnawiana, ale nieumiejętnie i powierzchownie, dla braku środków, uległa znacznemu zniszczeniu, ale mimo wszystko należy do najpiękniejszych zabytków Kijowa, a wyglądem swym zdradza odrazu cudzoziemskiego mistrza.

X. dr. T. Kruszyński.



Z zajętego Kijowa: Cerkiew św. Andrzeja w Kijowie.



Wycieczka krakowskich kolarzy do Tyńca: Wycieczkowcy na stokach tynieckiego wzgórza W pośrodku kapitan kolarzy Lenartowicz. (Do artykułu na str. 7.)

Gwałty czeskie w szkołach T. S. L. i Macierzy Szkolnej na Śląsku Cieszyńskim.

Do ilustracyi na str. 7.

Dwie polskie instytucye oświatowe, T. S. L. i Macierz szkolna cieszyńska, prowadzą na wspólny rachunek 4 zakłady szkolne: Gimnazyum realne w Orłowej, szkołę wydziałową w Polskiej Ostrawie, szkołę 6-cio klasową i ochronkę w Radwanicach i szkołę 4 ro klasową i Ochronkę w Hermanicach, **wszystkie te szkoły padły ofiarą gwałtów czeskich.**

Czesi już od stycznia 1919 r. usiłowali podciąć byt tych zakładów. Wtedy aresztowali oni dyrektora gimnazyum, p. Kaz. Piątkowskiego, wytoczyli procesy kierow. szkoły w Radwanicach, p. Stefanii Walewskiej i naucz. Flor. Wyrwiczównie, a ciągłemi rewizyami utrudniali naukę. Dzieci polskie niejednokrotnie do krwi bito. Srodki te jednak nie odniosły żadnego skutku, przeciwnie, przy wpisach szkolnych we wrześniu podniosła się frekwencya w tych szkołach przeciętnie o 50%. Odtąd szkoły te nie zaznały ni dnia spokoju.

Gimnazyum w Orłowej i bursa polska miały dotąd ponad 30 rewizyi. Przed paru miesiącami pobito i poraniono dotkliwie kierownika zakładu p. Piotra Feliksa, jego żonę i profesora Józefa Hajdukiewicza. Do budynku zwieziono graty rodzin czeskich i zapełniono nimi kilka sal. Wreszcie przed dwoma tygodniami aresztowano znowu kierownika zakładu p. Feliksa i prof. Robaka, a internowano żony dyrektora Piątkowskiego i p. Feliksową. Pozostają oni dotąd w ręku Czechów w Morawskiej Ostrawie, przyczem pp. Feliks i Robak dotkliwie zostali pobici i poranieni.

Zbiory zakładu zostały zniszczone. Wśród nich była bardzo cenna biblioteka ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego. Całe grono profesorskie zostało rozpędzone przez wyrzucenie z mieszkań i nakaz wyjazdu.

W Radwanicach bandy czeskie wyrzuciły zrazu tylko kierowniczkę p. Walowską i naucz. Wyrwiczównę oraz, wpadłszy do szkoły, rozpędziły dzieci. Gdy po tygodniu wypędzone powróciły, bandy po wtórnie je usunęły. Kierownictwo szkoły objął nauczyciel Solhaj. Ale i tego wraz z żoną, nauczycielką, w dniu 9 maja bandy czeskie wyrzuciły, a szkołę zajęły na potrzeby czeskie.

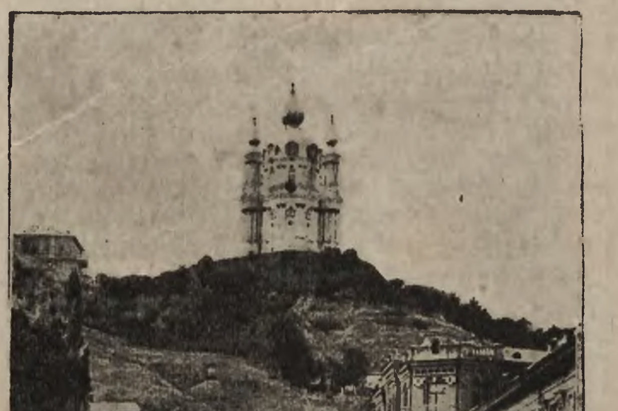
W Hermanicach bandy czeskie rozpędziły zarówno ludność polską, jak i dzieci i grono nauczycielskie. Kierowniczka ochronki p. Wojtasiewiczówa, przeniosła się wraz z wypędzoną ludnością do baraków w Cieszynie i tam objęła nadzór nad dziećmi.

W Polskiej Ostrawie aresztowano dnia 11 maja kierownika szkoły p. Zarzyckiego. Po 12 godzinach wypuszczone go, polecając opróżnić mieszkanie z mebli i rodziny w ciągu godziny i opuścić na zawsze Polską Ostrawę. Drugiego dnia napad band czeskich powtórzył się, mieszkanie p. Zarzyckiego zajął sekretarz gminy, czech Bogusz, a p. Zarzycki z rodziną uciekł na automobilu dostarczonym przez Komisyę międzynarodową do Cieszyna. Wypędzon też nauczycielkę p. Dańkowską. Szkoła funkcyonuje dalej, uczą pozostałe nauczycielki.

W Radwanicach z kilku tysięcy polskiej ludności (dzieci w polskiej szkole było ponad 300) pozostawiono podobno w spokoju już tylko 5 rodzin. W Hermanowicach zapowiedzieli czesi, iż połamią kości tym, którzy poszlą dzieci do polskiej szkoły, gdyby poraz trzeci wróciło nauczycielstwo. Obecnie zabrali się Czesi do Szkoły wydziałowej TSL. w Morawskiej Ostrawie, a więc już poza terenem plebiscytowym. Zajęli oni szereg sal szkolnych w Domu polskim, a dyrektorowi Józefowi Woynarowskiemu, zajmującemu prywatne mieszkanie na mieście od lat 15, polecono mieszkanie opuścić, zostawiając meble, mieszkanie to oddano renegatowi Jezowi.

W takich warunkach znajduje się w 20 wieku ludność polska — tak Czesi niszczą polskie szkolnictwo!

A co świat kulturalny na to?



Z zajętego Kijowa: Widok z miasta na cerkiew św. Andrzeja.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłóm. Marya Toczyska).

34

Ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się niespodziewanie i do pokoju wszedł Lapipé, mówiąc donośnym ironicznym głosem:

– I ja również nie pogniewałbym się, gdybym mógł usłyszeć odpowiedź pana!...

Przekonany ciągle, że zabójstwo kapitana Fraskopelly, było dziełem tajemniczego nieznajomego, Lapipé postanowił udać się do młodej robotnicy, by ją zręcznie zmusić do wyznania. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mu się wejść do domu, w którym mieszkała Zanetta, równocześnie z młodym człowiekiem, który również do niej się udawał.

To, co usłyszał zainteresowało go mocno. Nareszcie natrafił na ślad bardzo ważny. Ale w chwili, w której miał się dowiedzieć kim był ten człowiek rozmawiający z Zanettą, kroki jakieś dały się słyszeć na korytarzu. Lokatorowie zapewnie powracali do siebie.

Dać się przychwycić na oczywistem szpiegowaniu pode drzwiami, mogło wywołać nieprzyjemną awanturę, tłómaczyć się zaś Lapipé nie chciał, bo najprawdopodobniej nie wywołałoby to żadnego rezultatu. Trzeba było więc zaryzykować i śmiałością otrzymać to, co zamierzał ukraść podstępem.

Bez wahania więc wtargnął do pokoiku Zanetty. Obydwaj mężczyźni spojrzeli sobie prosto w oczy. I kiedy Lapipé ujrzał te jasne niebieskie oczy o odbłysku stali, wszelkie jego wątpliwości ostatnie rozwiały się od razu. Miał przed sobą tajemniczego nieznajomego!

– Oh! tym razem nie ujdziesz mi już – wyszeptał głosem drżącym z radości.

– Cóż to znowu! – odparł wyniośle Paweł de Vareillés. – Co znaczy ten ton!? Za kogoż to mnie pan bierze?...

– Za nędznego mordercę, którego poszukuję od dawna. Ale teraz już koniec! Nie wymkniesz się już z moich rąk mój zuchu!

– Musi mnie pan jednak wysłuchać...

– Nigdy w życiu. Nie przyjmuję tłómaczeń od takiego ptaszka!

– Niech się pan strzeże panie Lapipé!... – zawołał młody człowiek. – Będzie pan sam odpowiedzialny za to, co się stanie!...

Groźby?...

Tylko przypomnienie grzeczności.

Lapipé nie słuchał dalej. Rzucił się ku nieznajomemu, aby mu założyć kajdanki na ręce. Ale tamten sprężystem skokiem, oddalił się od niego.

Lecz kiedy Lapipé niezrażony powrócił raz jeszcze do niego, tamten pochwycił go za kołnierz, uniósł jak piórko i idąc ze swoim ciężarem ku otwartemu oknu, pchął go w próżnię.

Zanetta wylękniona patrzała na tę scenę, z oczami rozszerzonemi grozą, nie wiedząc co począć z sobą.

– Oh! panie! – zawołała nareszcie. – Co pan uczynił?...

Młody człowiek zaśmiał się.

– Pozbyłem się tego nudziarza proszę pani. Ale proszę nie obawiać się niczego... żeby panią nie kompromitować oddalam się. Niech pani tylko pamięta, że był ktoś, który czuwał nad panią i dalej czuwać będzie.

Zanim Zanetta mogła go zapytać o wyjaśnienie tych słów, Paweł de Vareillés wyszedł spiesznie z pokoju. Podeszła więc ku oknu, wychyliła się, rozglądając w półmroku, który zapadać już zaczynał, i nie ujrzała nikogo. Ulica zachowała swoją martwą ciszę i spokój.

Dziwnem to było! Czyżby była ofiarą halucynacyi?...

Lecz to, co ujrzała odwróciwszy się zdziwiło ją jeszcze więcej. Lapipé na progu jej pokoju przypatrywał jej się z drwiącym uśmiechem.

– Pan!... pan tutaj!... – wyszeptała Zanetta z przerażeniem. – Ajent nie raczył jej wyjaśnić w jaki sposób wyrzucony przez okno spadł szczęśliwie na rozpięty płócienny daszek kawiarni znajdującej się na dole i że raz znalazłszy się na pewnym gruncie przywołał dwóch ajentów, z których jeden pilnował bramy, drugi zaś na jego rozkaz pobiegł po pomoc do najbliższej policyjnej stacyi, a w końcu, że on sam pospieszył na górę, aby uprzedzić wyjście nieznajomego.

– Gdzież podział się pani towarzysz? – zapytał rozglądając się wokoło.

– Nie wiem proszę pana – odpowiedziała Zanetta drżącym głosem.



pochwycił go za kołnierz, uniósł jak piórko i idąc ku otwartemu oknu, pchnął go w próżnię.

– Niema go! – mruknął Lapipé. – Zresztą daleko nie pójdzie. A teraz proszę mówić prawdę, inaczej pożałuje pani tego. No dalej, odpowiadać. Jak się nazywa ten człowiek?

– Niewiem...

– Jego zatrudnienie?

– Niewiem również...

– A więc go pani nie zna?

– Nieznam, proszę pana...

W tej chwili doby ł ich odgłos kroków ze schodów. Lapipé otworzył drzwi i zawołał do nadbiegających ajentów:

– Przeszukać dom cały! On nie mógł stąd wyjść. Poczem powrócił do Zanetty.

– A więc moja mała, ty niechcesz... lub też nie możesz mi powiedzieć...

Młoda dziewczyna przecząco potrząsnęła głową.

– To dobrze. To mnie nic nie obchodzi. Wytłómaczysz się przed sędzią.

– Przed sędzią? – powtórzyła Zanetta z lękiem.

– Oczywiście. Jesteś aresztowana jako wspólniczka tego ptaszka, który tu był przed chwilą u ciebie.

– Wspólniczką?... wspólniczką czego?...

– Zamordowania kapitana Fraskopelly.

Na te słowa okrzyk zdumienia wybiegł z piersi Zanetty.

– Kapitan został zamordowany!?

– I o tem niewiedziałaś moja panienko – zaśmiał się równocześnie Lapipé.

– Nie, proszę pana. Zamordowany? Gdzie? Przez kogo?...

– W gabinecie restauracyjnym, niewiadomo przez kogo, podczas obiadu, wydanego na cześć jego świeżego narzeczeństwa. Oh! oh! pamięć jak widzę powraca panience!

Zanetta stała zdumiona tem wszystkiem co usłyszała. Cały świat sklepionych myśli ciężył nad jej mózgiem. Przypominając sobie słowa nieznajomego, zapytywała się, czy to nie on, wyratowawszy ją poprzednio od napaści owej nocnej, tak samo wyrwał ją z rąk kapitana i odważył się aż do popełnienia zbrodni, aby ją raz na zawsze uwolnić od jego natręctwa?

Kim-że więc był ten tajemniczy obrońca, który w ten sposób czuwał nad nią. Czy może był to ten człowiek, o którym przed śmiercią wspominał jej ojciec?...

– Panie! – wyszeptała wzburzonym głosem – przysięgam, że niewiedziałam o tem... nie czytuję dzienników... od kogoż dowiedzieć się bym mogła?

– Dobrze, dobrze! – przerwał jej Lapipé brutalnie. – Dosyć już krętactwa. Opowiesz to wszystko moja mała sędziemu nie mnie.

Zawołał stojącego na kurytarzu ajenta i rozkazał:

– Założyć jej kajdanki... i na policyę!...

Zanetta cofnęła się śmiertelnie przerażona.

– Panie, przez litość!...

– Cicho! Jutro odwiezie się ją do więzienia głównego.

Twarz Zanetty pokryła bladość. To była dla niej najwyższa hańba! Więzienie główne. W towarzystwie najwstrętniejszych istot, szumowin społeczeństwa! Nie! to nie było możliwe! Cóż chciał od niej ten okrutny człowiek. Dlaczego pastwił się tak nad nią? Jakim prawem pchnąć ją chciał w hańbę niezasłużoną? Cóż uczyniła takiego?

– Panie! błagam pana! odwołaj ten rozkaz! – prosiła ze łzami w oczach. – Pan chce mnie zgubić na zawsze!

Ale Lapipé nie raczył nawet odpowiedzieć.

– No, dalej!... – przynaglał ajenta.

Ale nagle Zanetta wyprostowała się całem ciałem, spojrzała prosto w oczy Lapipé'a i podając dłonie ruchem zupełnej rezygnacyi wyrzekła z mocą:

– Panie inspektorze, wiedz pan, że popełniarz w tej chwili rzecz podłą!

– Zabierzcie ją! – uniósł się Lapipé. – Zabierzcie ją stąd jaknajprędzej!

Wiadomość o aresztowaniu Zanetty rozniosła się błyskawicznie po całej kamienicy.

Lokatorowie wylegli do okien, chciwi widoku jej wyjazdu, czyniąc przeróżne komentarze Kiedy młoda dziewczyna przechodziła obok loży dozorczyni, pani Bourju oburzona i wściekła skoczyła jak lwica, chcąc ją wyrwać z rąk policyantów. Ajenci musieli ją nastraszyć, że i ją zabiorą jeżeli się nie uspokoi.

– Otóż to! – krzyczała. – Prowadźcie mnie także... prowadźcie mnie z tym barankiem bez zmazy. Ja z nim pomówię, z tym waszym panem komisarzem. To wstyd dla policyi! Takie dziecko łagodne i dobre. O cóż wy ją obwiniać możecie okrutniki!...

– Niech się pani nie lęka o mnie, kochana pani Bourju – uspokajała ją Zanetta. – Będą przecież zmuszeni mnie wypuścić... za godzinę będę w domu...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kanonizacya Dziewicy Orleańskiej Papież Benedykt XV. na tronie. Obraz Joanny D'Arc w bazylice św. Piotra.

Kanonizacya Dziewicy Orleańskiej

„Najwierniejsza córa Kościoła", Francya, doczekała się nareszcie spełnienia swych najserdeczniejszych życzeń i Dziewica Orleańska zaliczoną została w poczet Świętych.

Pięćset lat minęło od Jej męczeńskiej śmierci, a w tym czasokresie niejednokrotnie starali się Francuzi o to uczczenie swej bohaterki narodowej. Ale kołatania ich do stolicy apostolskiej napotykały zawsze na odmowną odpowiedź, zebrały się przeszkody, jak się zdawało, nie do pokonania. Lud francuski nie stracił przecież nadziei, starania i zabiegi o kanonizacyę Joanny d'Arc przekazywano z pokolenia na pokolenie.

I dziwnym zbiegiem losów decyzya Koryi rzymskiej zapadła właśnie w obecnym czasie, kiedy stosunki polityczne między Francyą i Anglią są zupełnie inne, niż przed pięciu wiekami gdy biedną lotaryńską wieśniaczkę, która kraj swój uratowała od zagłady, wiedziono na stos, jako obwinioną o kacerstwo i konszachty z czartem. Wówczas wojska angielskie zalały całą Francyę i już zdawało się, że wybiła jej ostatnia godzina. Ale oto pojawia się wówczas nieznana dotąd nikomu córka biednego rolnika z Domremy. I dokazuje prawdziwego cudu podnosząc na duchu zrezygnowanych już na wszystko rodaków. Z tą chwilą odwraca się szczęście wojenne od Anglików, ponoszą klęskę po klęsce, ale zaprzysięgają zgubę tej, którą uważają za powód tych niepowodzeń.

Francya ocalała, Joannę d'Arc, posądzoną o czary, spalono na mocy wyroku sądowego na stosie.

Świetlana postać Joanny d'Arc to dla każdego Francuza prawdziwa świętość, to bohaterka narodowa, która zupełnie słusznie zasłużyła na to, by być i Patronką swej ojczyzny.

I stało się to obecnie, gdy Francya i Anglia złączone są ze sobą, może nie tyle przyjaźnią, ile wspólnością interesów.

Wiadomość o kanonizacyi Dziewicy Orleańskiej rozeszła się po kraju radosnem echem. Dzień ten był dla Francyi nie tylko świętem kościelnem ale i narodowem.

Uroczystości kanonizacyjne odbyły się w Rzymie w bazylice św. Piotra, w dniu 20 maja, wobec tłumów wiernych, między którymi lwią część stanowili Francuzi z specyalną delegacyą Republiki, pogodzonej już zupełnie z Watykanem na czele.

Korespondent jednego z pism w ten sposób podaje szczegóły ceremonii kanonizacyjnych:

„Dnia 20 maja br. rano dzwony wszystkich kościołów Rzymu zwiastowały światu, że Dziewica Orleańska przyjęta została w poczet świętych. W wielkich uroczystościach kanonizacyjnych wzięło udział około 100 biskupów, wśród których było 26 kardynałów. Wielka procesya ze światłem, która szła z Watykanu do olbrzymiej nawy św. Piotra, trwała przez ciąg dwu godzin. O 10 zwiastował dźwięk trąb srebrnych z wnętrza katedry św. Piotra, zbliżanie się Ojca św., na swym srebrnym tronie i błogosławiącego tłumy, gdy równocześnie w katedrze rozbłysnął tysiącami mistycznych świateł obraz nowej świętej. Przeszło 60.000 ludzi asystowało tej ceremonii, w loży dyplomatów zasiadł wśród innych i Hanotaux, delegat francuskiego rządu".

Dzień ten obchodzono uroczyście w całej Francyi, zwłaszcza zaś w Orleanie, gdzie przed pomnikiem Dziewicy Orleańskiej odbyły się patryotyczne manifestacye.



Kanonizacya Dziewicy Orleańskiej Specyalna delegacya Francyi w otoczeniu dworu papieskiego.



Kanonizacya Dziewicy Orleańskiej: Hołd armii francuskiej przed pomnikiem Joanny D'Arc w Orleanie.

Poświęcenie dzwonów w kościele XX. Misyonarzy
na Nowej Wsi w Krakowie.

Każdy z Krakowian, kto wczesnym rankiem wychodził na Błonia poza Park dra Jordana, przypomina sobie melodyjny głos dzwonów, rozchodzący się szeroko z pobliskiego kościoła XX Misyonarzy na Nowej Wsi. Biegł on przy sprzyjającym wietrze doliną Rudawy aż poza Wolę Justowską, Chełm i Olszaninę, zatrzymując się dopiero o mydlnickie wzgórza.

W początku wojny zamilkły przecież one... Sięgnęła po nie ręka austryackiego grabieżcy, który, chcąc uprzedzić zewnętrznego wroga pod pretek-

stem legalnych i nielegalnych rekwizycyi zabierał wszystko, co tylko jakąś wartość przedstawiało, jak gdyby przypuszczając, że niedługie już u nas jego panowanie.

Padły ofiarą te dzwony, jak wiele innych. Ze łzą w oku żegnali je mieszkańcy okolicznych gmin, gdy je zabierano, bo zżyli się z nimi. Co się z nimi stało, to tajemnica urzędowa. Może obrócono je na fabrykacyę śmiercionośnych pocisków, a może na sporządzanie plakiet, wybijanych na cześć „zwycięzkich“ austryackich wodzów...

Skoro tylko życie zaczęło wracać na normalne tory, rozpoczął też superyor XX. Misyonarzy na Nowej Wsi X. Jan Dihm starania o zaopatrzenie kościoła w nowe dzwony, a usiłowania jego, przy poparciu miejscowej ludności odniosły pożądany skutek.

W maju b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie nowych dzwonów, sporządzonych w znanej odlewarni Szwabego w Białej. Ceremonii poświęcenia dopełnił książę biskup krakowski Sapieha przy tłumnym udziale pobożnych.

W niniejszym numerze podajemy podobiznę czcigodnego księdza superyora Dihma w otoczeniu rodziców chrzestnych dzwonów i fotografię dzwonów, przygotowanych do konsekracyi.



Poświęcenie dzwonów w kościele XX. Misyonarzy w Nowej Wsi: X. Superyor J. Dihm w otoczeniu chrzestnych rodziców dzwonów: 1) p. Zmożyńska, 2) p. Konik, 3) p. Rachel, 4) p. Biskupianka, 5) Kotylonowa, 6) radca Stroka 7) X. Superyor J. Dihm, 8) p. Zbrojowa, 9) Inż. Skąpski.



Poświęcenie dzwonów w kościele XX. Misyonarzy w Nowej Wsi Dzwony w kościele przygotowane do konsekracyi. W głębi X. Superyor J. Dihm.

Wycieczka krakowskich kolarzy do Tyńca.

Wojna, której skutki odczuwamy tak boleśnie, toczy się wprawdzie dotąd, ale od nas zdaleka. Nasz kraj zaczyna powoli budzić się do dawnego życia, a stosunki wracają na normalne tory.

Po inne lata o tym czasie roił się Kraków od wycieczek z bliższych i dalszych okolic, mieszkańcy Krakowa korzystali z każdej pogodnej niedzieli i święta, aby pospieszyć za miasto, odetchnąć świeżem powietrzem i ucieszyć oko i ducha pięknymi widokami, w jakie okolice naszego grodu tak obfitują. Panieńskie Skały, Bielany, Tyniec, Czerna, Mników, Skała Kmity, to cele wycieczek Krakowian.

Powoli zaczynamy sobie przypominać dawne, przedwojenne czasy, a stowarzyszenia i kluby, korzystając z prawdziwie wiosennej pogody, jaką nas maj uraczył, zorganizowały cały szereg wycieczek dla swych członków i ich rodzin.

Do najbardziej udałych należała wycieczka krakowskiego Klubu kolarzy do Tyńca.

Starożytne ruiny benedyktyńskiego opactwa mile przyjęły gości, bo i one już zatęskniły za tym ruchem i gwarem, jaki tutaj dawniej panował.

Illustracya nasza przedstawia uczestników wycieczki, którzy częściowo drogą lądową na swych stalowych rumakach, częścią zaś wodą pospieszyli w ten tak uroczy zakątek, aby tam bodaj na chwilę zapomnieć o szarzyźnie codziennego życia.





Gwałty czeskie w szkołach T. S. L. i Macierzy Szkolnej na Śląsku Cieszyńskim:

Bursa w Orłowej na Śląsku utrzymywana wspólnym kosztem T. S. L. i Macierzy Szkolnej, po rozpędzeniu dzieci polskich owładnięta przez Czechów.

Dawny budynek Bursy Orłowej przeznaczony ostatnio na mieszkanie dla nauczycielstwa polskiego siłą zajęty przez bandytów czeskich.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

4

Niema wątpliwości, że stan fizyczny wpływa na moralny.

— Jaki pan ostrożny!

I trochę pogardliwy uśmiech ukazał się na różowych ustach.

— A jednak pan musi być w antagonizmie z chrześcijańskimi uczonymi, księżmi i tymi wszystkimi doktrynerami, którzy zwodzą samych siebie i stawiają duszę ponad ciało i utrzymują, że dusza jest od niego niezależna. Nawet przed paru dniami czytałam o doświadczeniach, czynionych z pneumografem i galwanometrem i jestem pewna, że... Nagle urwała.

— Ale to nie należy do rzeczy; powiedziałam panu moje zapatrywanie, że zdrowie stawiam ponad wszystko prawie.

— Pani wydaje się być zupełnie przekonaną, zupełnie szczerą materyalistką.

— A pan?

— Pomimo wszelkich dotychczasowych odkryć naukowych, myślę, że są jeszcze głębokie tajemnice w człowieku.

— Włączając kobiety?

— Och! naturalnie! Ale wracajmy do pani.

— Ah!

Spojrzała na zegarek w bransoletce:

— Pańska dzienna praca kończy się?

— Zwykle o szóstej.

— Nie chcę pana zatrzymywać. Ostatecznie jest tak: tracę smak do życia, a ponieważ tracę smak, tracę i władzę nad niem; zaczynam uczuwać znużenie, smutek, czasem nawet jakiś lęk.

— Przed czem?

— Przed średnim wiekiem, przypuszczam, i końcem wszystkiego, co przyjemne.

— I pani sobie życzy, żebym poradził coś na smutek?

— Dlaczego nie? od czego są lekarze? te moje uczucia mają fizyczną przyczynę.

— Pani jest zdania, że byłoby zupełnem niepodobieństwem, żeby pochodziły z władz duszy?

— Zupełnem. Wierzę, że wszystko się dla nas kończy z chwilą naszej śmierci, jestem tak pewną, jak tego, że jestem kobietą. A ponieważ takiem jest moje przekonanie, znajduję, że najważniejszą sprawą jest starać się o najlepsze użycie czasu, dopóki w nim jestem.

— Naturalnie.

— Dobre użycie czasu dla kobiety, jest jej władza nad innymi, a władza ta zależy od jej wiary w siebie. Tak długo jak jest zdrową, czuje się młodą, jest uważana za młodą — przy bardzo małej pomocy sztuki. A jak długo daje wrażenie miłości — mówię naturalnie o kobietach tak zwanych „ponętnych" — wszystko idzie dla niej dobrze. Będzie miała wiarę w siebie i używała życia. A teraz doktorze, proszę pamiętać, że uważam, że wszystko co mówiłam, i zwierzenie, które panu uczyniłam, podlegają nienaruszonej dyskrecyi lekarza tej miary co pan.

— Ależ naturalnie — odrzekł.

— Ostatnimi czasy, moja wiara w siebie zachwiała się, przypisuję to jakiejś ukrytej przyczynie w zdrowiu, i przyszłam do pana — proszę ją wynaleźć.

— Bardzo chętnie, lecz muszę panią zbadać, i zechce pani dać mi zupełnie szczere odpowiedzi na czysto medyczne pytania, które jej zadam.

— *Eu avant monsieur!*

Odstawiła parasolkę.

— Nie wierzę w wykręty — z lekarzem — rzekła.

III.

Siódma biła na zegarze, kiedy Mrs. Chepstow wyszła z domu przy Cleveland Squere, wsiadła do dorożki i pojechała w stronę ruchliwej ulicy St Iaenes, podczas gdy dr. Meyer Iseacson poszedł ze swego gabinetu do sypialni, żeby wypocząć i przebrać się na obiad. Ubranie leżało już przygotowane, odprawił więc lokaja i zdjąwszy marynarkę, kamizelkę, krawat i kołnierzyk, wyciągnął się wygodnie w fotelu przy otwartem oknie i zamknął oczy. Codziennie dawał sobie dziesięć do piętnastu minut absolutnego spoczynku, nietylko fizycznego, ale i umysłowego, oddalając na ten czas wszelkie myśli. Siłą woli opanował je zupełnie. Wstawał potem, rzeźki i świeży jakby po parogodzinnym śnie. Ale tego dnia umysł jego nie dał się uspokoić, myśli wciąż nachodziły. Wspomnienie ostatniej pacyentki walczyło z jego chęcią spoczynku, z jego wolą i zwyciężało.

Po zbadaniu Mrs. Chepstow i zadaniu szeregu pytań, powiedział jej:

— Nie, pani nie jest. — Frazes bardzo zwykły,



— Więc co pan radzi czynić? — spytała.

ale mówiąc to, czuł, że coś w nim krzyczy: — Kłamiesz! — Ta kobieta nie cierpi wprawdzie na żadną fizyczną chorobę, ale powiedzieć jej: — nic, pani nie jest — było kłamstwem: dodał też: — na co lekarz mógłby poradzić. — Twarz jej, taka, jaką widział po wypowiedzeniu tego zdania, stała mu wciąż przed oczami.

Wspaniałe jej włosy były ufarbowane na jakiś kolor niezwykły. Naturalnie jasno kasztanowate, zostały sztucznie zamienione na jaśniejszy, mniej gorący odcień, który nie był ani płowym, ani złotym, ale miał jakąś dziwną bladość, odrębność, był wprawdzie niekoniecznie piękny, lecz doskonale harmonizował z oczami, które, pomiędzy podmalowanym pod niemi cieniem i uczernionemi brwiami, wydawały się żywszemi, bardziej błyszczącemi, i fakt ten przemawiał za artystycznym smakiem osoby, która ten odcień włosów obrała. Widocznie Mrs. Chepstow przykładała wielką wagę do tej jasnej, nieledwie anemicznej i delikatnej bladości, od której tem bardziej odbijały brwi, oczy i usta. Było w tem coś, prawie patetycznego, co dla niezbyt krytycznie usposobionego człowieka, dopełniało wrażenie, wywołane pięknością rysów jej twarzy.

Gdy dr. Meyer Iseacson przestał mówić, twarz ta była spokojna, lecz z wyrazem przenikliwie pytającym, i prawie natychmiast wyszło z różowych ust pytanie: — Czy rzeczywiście niema żadnej fizycznej przyczyny, która mogłaby wywołać depresyę? Widzi pan, jak medycznie się wyrażam.

— Absolutnie żadnej. Niema pani śladu nawet artretyzmu, na który przynajmniej trzy czwarte moich pacyentów pod tą, lub inną formą chorują. Mrs. Chepstow ściągnęła brwi.

— Więc co pan radzi uczynić? — spytała — czy mam się zwrócić do księdza, czy do filozofa? Czy do świątyni Chrześcijańskiej nauki? Albo może pan znajduje, że doza Nowej Teologii byłaby mi pomocną?

Mówiła ironicznie, lecz dr. Iseacson czuł, że poza tą ironią kryje się rozpacz materyalisty, dla którego w pewnych chwilach wszelkie drogi nadziei są zamknięte.

Spojrzał na Mrs. Chepstow, i w jego oczach błysnęła litość, kiedy powiedział: — Jak ja mogę pani poradzić?

— Rzeczywiście jak? — a jednak — i to ciekawe, pan wygląda tak, jak gdyby mógł.

— Jeżeli pani jest przekonaną materyalistką, prawdziwą ateuszką.

— Jestem nią bezwątpienia.

— Byłoby bezużyteczne radzić pani rozmowy z księżmi i chodzenie do Świątyni Chrześcijańskiej Nauki. — Co do mnie mogę tylko powiedzieć, że pani niedomaganie nie jest niedomaganiem ciała.

— A zatem duszy? To źle, gdyż nie wierzę w duszę, a bardzo wierzę w ciało.

— Ciekawym co pani ma istotnie na myśli, mówiąc, że nie wierzy w duszę?

— Myślę, że nie wierzę w istnienie, w człowieku czegoś tajemniczego, co nie umiera razem z ciałem. Naturalnie jest w nas coś, co nazywamy moralną stroną człowieka, coś, co lubi i nie lubi, co kocha i nienawidzi i t. d.

— A czy to coś nie może być przygnębione zmartwieniem?

— Nie mówiłam, że mam zmartwienie.

— Ja też tego nie twierdzę. — Powiedzmy zatem tak: czy to coś nie może być wogóle przygnębione?

— Do pewnego stopnia, tak. Ale utrzymując ciało w doskonałem zdrowiu jest się uwolnionym od wszelkiej depresyi. Mówię szczerze, doktorze, nie myślę żebyś pan miał słuszność, jestem pewna, że jest jakaś niedokładność w moim organizmie — jakaś nieprawidłowość w systemie nerwowym.

— Proszę spróbować innego lekarza, nerwowego specjalistę — hypnotyzera jeśli pani woli, n. p. Hinton. Morros, Sealinger, albo Powell, Burham, ja nie mogę poradzić.

— Istotnie.

Podniosła się zwolna, ruchy jej były wciąż niedbałe, ale pełne indywidualności i wdzięku.

— Proszę pamiętać, że mówiłam z panem szczerze, jak z lekarzem.

— Wszystko co słyszę w tym pokoju, zapominam, wyszedłszy z niego.

— Doprawdy?

— W każdym razie zapominam o tem mówić — dodał prawie szorstko.

— Do widzenia — rzekła.

Wyszła z uczuciem beznadziejności, pochodzącej z cichej i gwałtownej żądzy używania, bez żadnego nawet bezwiednego pragnienia zaspokojenia innych potrzeb, niż czysto materyalnych.

— Co taka kobieta może mieć przed sobą w obecnym okresie życia? — myślał teraz dr. Iseacson. Pozostawał wciąż bez ruchu w fotelu ale zaniechał już wysiłków, żeby umysł uspokoić, wiedział, że nic z tego nie będzie, wolał myśleć o Mrs. Chepstow.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z teatru lwowskiego.

W zaprzeszłym tygodniu odbył się pierwszy w tegorocznym sezonie dramatu sceny lwowskiej debiut. W roli Klary w nieśmiertelnych „Slubach



Z teatru lwowskiego: P. Irena Ładosiówna art. teatr. lwow.

panieńskich" wystąpiła młodziutka artystka sztuki scenicznej, p. Irena Ładosiówna. Debiut powiódł się najzupełniej. P. Ładosiówna wnosi bowiem na scenę prócz ujmujących wzrokiem młodości warunków zewnętrznych bardzo poważny i szczery talent, który przy dalszej pracy pozwoli dzisiejszej debiutantce zająć jedno z pierwszych miejsc w szeregach aktorskich.

Pisząc o tym udatnym debiucie, recenzenci pism lwowskich podnieśli zgodnie niepoślednie wartości, które cechowały grę p. Ładosiówny. A więc głos miły, miękki, dźwięczny, ruchy pełne wdzięku, oko i twarz pełne wyrazu, a dalej inteligentne i trafne ujęcie charakteru odtwarzanej postaci. Zdumiewająca zaś była swoboda w grze młodziutkiej debiutantki, tem bardziej, że ansambl jej tworzyli najlepsi, najbardziej rutynowani lwowscy artyści: Pillerowa, Michniowska, Frączkowski, Nowacki i Okornicki. Swobodę tę przypisać należy nie niewłaściwej u debutantki pewności siebie, lecz temu, że p. Ładosiówna to niejako „dziecko teatru". Córka b. dyrektora scen prowincyonalnych w Królestwi śp. Czesława Ładoś-Wiśniewskiego i p. Jadwigi z Wiszniewskich, również utalentowanej lecz od paru lat nieczynnej artystki dramatycznej, od lat „dziecinnych" obijała się za kulisami i wśród aktorów. Już jako dziecko kilkuletnie zwróciła na siebie uwagę, bo wykazywała niezwykły talent deklamatorski; wrodzone zdolności wsparła sumienna praca nad sobą oraz kurs w lwowskiej szkole dramatycznej, ostatnio zaś, „termin" kilkumiesięczny w lwowskim „teatrze wodewilowym".



Budowa Państwa Polskiego: Otwarcie kursu dla dozorców więziennych przy państwowem więzieniu w Częstochowie. Prowadzący kursa X naczelnik więzienia p. Kapuściński.



Budowa Państwa Polskiego: Inicyatorowie, kierownicy i uczestnicy kursu pożarnictwa w Jarosławiu. 1) delegat Rady radca J. Rychlik, 2) sekretarz Tyralski 3) radca poż. B. Wójcikiewicz, 4) instruktor J. Sroka 5) lekarz Dr S. Rossberger, 6) st. naczelnik m. straży pożarnej W. Ziembowicz, kierownik kursu.

Marszałek Sejmu o pożyczce!

Nie jałmużny ani poświęcenia Ojczyzna dziś żąda od ciebie, ale tylko trochę wiary w siły narodu i trochę zrozumienia własnego interesu.

Mówią, że marka nasza nie wiele dziś warta. Nieprawda! Ona tylko wtedy nie wiele warta, gdy ją dziś wydasz, ale każda marka zaoszczędzona a powierzona krajowi podnosi walutę, podnosi własną wartość.

M. TRĄMPCZYŃSKI
Marszałek Sejmu.

Budowa państwa polskiego.

(Do ilustracyi na str. 7)

Nie odrazu Kraków zbudowano!... Tak mówiono u powinno się odpowiedzieć każdemu, kto narzeka na różne braki i niedomagania, z jakiemi spotyka się na każdym kroku. Nasz organizm państwowy tworzy się dopiero, nie może więc funkcyonować tak sprawnie, jak ten i ów żąda, nie zdając sobie z tego sprawy, że na to składają się całe wieki. A my jesteśmy dopiero w drugim roku naszego samoistnego bytu i przy początkach tworzenia.

I to w jakich warunkach?... Kraj zniszczony zupełnie, większa część najsilniejszych rąk do pracy nieczynna, bo uwięziona na kresach, których trzeba bronić przed zachłannością wroga.

W takich warunkach tworzenie wewnętrznej organizacyi jest bardzo trudne, odbywa się przecież powoli, ale stale.

Nie trzeba także zapominać, że Polska składa się z trzech zupełnie odrębnych części, które dopiero muszą się zespolić w jeden silny organizm, a i w tym kierunku napotyka się na trudności. Każdy z byłych zaborów uważa się za najważniejszy i chciałby, aby reszta dostosowała się do niego.

Powoli dojdziemy przecież do celu, a że każda budowa, aby była silną, musi się zacząć od podstaw, witamy z radością każdą inicyatywę w tym kierunku, choćby na pozór drobną i małoznaczną.

Z przyjemnością notujemy też fakt urządzenia kursu pożarnictwa. Z poparciem Krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych we Lwowie powołała go do życia jarosławska Rada powiatowa, a wzięło w nim udział czterdziestu uczestników w różnych gmin powiatu.

Przed wojną działalność Krajowego Związku ochotn. straży ogniowych we Lwowie była bardzo ożywioną, dziś zaczyna znowu Związek organizowanie służby pożarniczej, tak ważnej, a tak u nas zaniedbanej, zwłaszcza tam, gdzie jest najpotrzebniejszą, to jest na wsi.

Jarosławski kurs powinien stać się wzorem dla wszystkich władz powiatowych. W Polsce nie powinna się znaleźć ani jedna gmina, w której nie byłoby fachowo zorganizowanej i w potrzebne przyrządy ratownicze zaopatrzonej Straży ochotniczej.

Krajowy Związek ma na tem polu wielkie zasługi, w nowo powstającem państwie otwiera się przed nim bardzo szerokie pole do nawiązania owocnej działalności.

Drugim kursem, jaki się w tych czasach odbył, to kurs dla dozorców więziennych, urządzony przy powiatowem więzieniu w Częstochowie.

I dozorca więzienny powinien mieć zawodowe wykształcenie, by umiał pełnić należycie swe czynności; praca w tym kierunku zasługuje też na uznanie.

Fotografie uczestników obydwóch kursów wraz z ich inicyatorami i kierownikami podajemy w niniejszym numerze.

Kronika tygodniowa

Mój kolega redakcyjny, obliczając w poprzednim numerze, że niektóre z pism codziennych podrożały czterdzieści siedm razy, zabił mi nielada klina w mózgownicę. Porównuję teraz ceny obecne różnych artykułów z podwyższonemi i badam, ile też procentów wynosi podwyżka. Ma się zajęcie bardzo przyjemne, a nawet pożyteczne, na podstawie bowiem tych obliczeń można bardzo łatwo napisać naukową rozprawę na temat „Ekonomiczne stosunki przed wojną i po wojnie“. Co zaś najważniejsze, materyał jest prawie niewyczerpany, wszystko bowiem podrożało w szalony sposób. Piękny przykład dał Wysoki Rząd, podnosząc wszystkie opłaty, podatki, ceny soli, spirytusu, tytoniu i t. d. Stoprocentowa podwyżka to głupstwo, na które nikt nawet nie zwróci uwagi, dziś operujemy tysiącami i setkami tysięcy.

Pierwotnie używał kronikarz do tych obliczeń papieru i ołówka, ale się wnet opamiętał, że to dziś artykuły zbytku, z którymi trzeba się bardzo ostrożnie obchodzić. Na szczęście znalazł tabliczkę i rysik i ich używa do obliczeń.

I ta tabliczka i rysik cieszą go najbardziej, przypominając mu owe lata szczęśliwe, gdy z paszportem z tyłu, a tabliczką pod pachą spieszył do szkoły, o nic się zresztą nie troszcząc. Za centa można było dostać trzydzieści doskonałych śliwek węgierek, a centowa bułka i większa była i smaczniejsza, niż dzisiejsza za cztery korony.

Dobre to były te dawne czasy, na samo ich wspomnienie dostaje się dreszczu, a człek czuje się młodszym.

I właśnie wojnie ma to do zawdzięczenia, że się może uczyć, gdyby bowiem nie wojna, nie byłoby drożyzny, kronikarz nie robiłby obliczeń i nie powracał do domu zapomniawszy tabliczki i rysika.

Ma zatem i wojna swoje dobre strony i na to zwracam uwagę P. T. uczniów szkół średnich, o ile będą zajęci wypracowaniami domowemi na temat „Dobre i złe strony wojny“.

Za dawnych czasów każdy z profesorów, tak polonista, jak germanista, miał go stale w repertuarze i zadawał raz w tej, to znów w innej formie. Dziś stał się aktualniejszym, uczeń bowiem zna skutki wojny nie tylko z wykładów i opowiadania, ale z własnych przeżyć, na to, o czem napisze, patrzył swemi własnemi oczyma.

W ciągu swych studyów gimnazyalnych (w ubiegłem naturalnie stuleciu...), temat powyższy obrabiał kronikarz po polsku i niemiecku coś ze cztery razy.

W trakcie owych wojennych obliczeń doszedł kronikarz do smutnego przekonania, że obecnie papieros o krótkiem paleniu, zrobiony w domu, kosztuje siedmdziesiąt pięć halerzy (kawiarniane są dwa lub trzy razy droższe i stosunkowo gorsze...), doliczywszy zaś do tego jedną zapałkę (trzy halerze), otrzymuje się wartość jednego dymka, jakiego sobie człek puści — piętnaście halerzy.

I znów radość napawa serce, że się nam tak dobrze powodzi, bo byle kto nie może sobie przecież na taki zbytek pozwolić.

(Najtańsze papierosy są te, któremi ktoś poczęstuje, ale takich dobrodziejów coraz mniej...)

I, choć już czerwiec w kalendarzu, poczuł się kronikarz jakoś „majowo“ usposobionym, bo i młodszym (tabliczka i rysik) i zasobnym (dymki po piętnaście halerzy sztuka), chciał też popełnić jaką „majową“ impresyę, bał się przecież, by się tak nie zagalopował, jak pani *Haef* w „Kuryerze“.

W onej impresyi majowej, zatytułowanej „Gałązka akacyi“, wyczytałem „pachnącemu, obnażonemu ramieniu kobiety“ o tem, że „pachniała cudownym owocem dziewczęcych nietkniętych warg“, że „zamieniła się w od lat upragnioną kochankę nocy bezsennych, w alabastrową amforę, przelewającą się najkosztowniejszem winem rozkoszy“; jak to „akacyowymi kwiatami pachniały usta, głodne pocałunków i paniczną *dyszące* rozkoszą“... i doszedłem do przekonania, że choćbym nawet rozdmuchał te resztki uczucia, które gdzieś tam tlieją jeszcze w głębi, czegoś podobnego nie popełnię!... Majowe zapały ostudził już zimny podmuch rzeczywistości, każącej maj wykreślić raz na zawsze z kalendarza życiowego.

Bo i bądźże tu „majowo“ nastrojonym (choćby nawet i w czerwcu!...), gdy w sam dzień Bożego Ciała otwierają się niebieskie upusty, a strumienie najprzaiczniejszego deszczu leją się jak z cebra, a równocześnie czytasz w pismach codziennych, że zbliża się do nas fala ulew i powodzi.

Gospodarze powiadają wprawdzie, że deszcz obecnie nie szkodzi, ale nie trzeba zapominać, że w dniu 8. czerwca przypada świętego Medarda, a ten Święty ma to do siebie, iż, jeśli się rozczuli w swe imieniny, płacze dni czterdzieści. A to niezbyt miła perspektywa zwłaszcza dla nas mieszczuchów, mających trzewiki z wentylatorami, a nie posiadających nawet parasola! Powodzi, mieszkając na trzeciem piętrze, tak bardzo się nie obawiam, przeraża mnie raczej wilgoć „od góry“, gdyż dach nad mą głową jest dziurawy, a gospodarz nie myśli o naprawie. I ma racyę, skoro to dziś kosztuje tysiące, a na podwyższenie czynszu ustawa nie pozwala.

Jeśli zatem niebieski referent od pogody na czas nie przykręci kurka, może być źle.

Pogoda, wiadomo, ma wielki wpływ na usposobienie ludzkie, nic zatem dziwnego, że nawet „majowy“ deszcz, zwłaszcza jeżeli go zadużo, nie przyczynia się bynajmniej do podniesienia ducha.

Pozatem zbliżają się wakacye, a Weronika stawia dyskretne pytanie, co też będzie w tym roku z wyjazdem na świeże powietrze.

Pytanie bardzo łatwe, ale odpowiedź na nie bardzo trudna, zwłaszcza dla tego, do którego serca i kieszeni jest ono skierowane. Serce odpowiedziałoby z pewnością „tak“, kieszeń przecież zakłada swe *veto*.

A Weronice, jak każdej zresztą niewieście, trudno z głowy wybić, jeżeli sobie coś postanowi. Wmówiono w nią, że dla poratowania wątłego zdrowia powinna wyjechać na świeże powietrze, jeżeli nie do kąpiel, to bodaj na wieś. Nawiasem mówiąc, chciałbym aż do śmierci cieszyć się tak „wątłem“ zdrowiem. Przy stu dwudziestu kilogramach żywej wagi ma go tyle, iż mogłaby niem bez szkody dla siebie obdzielić kilka osób.

Dawniej, przed wojną, jeśli się miało kilkaset koron, wszystko jedno, czy oszczędzonych, czy pożyczonych, można było myśleć o wysłaniu rodziny na willegiaturę, co miało jeszcze i tę dobrą stronę, że bodaj przez kilka tygodni miało się w domu spokój i można było grać rolę słomianego wdowca, co bynajmniej nie jest nieprzyjemne.

Ale dziś?... Dziś kilka tysięcy marek wystarczy zaledwie na opędzenie kosztów podróży dla kilku osób i to niezbyt daleko.

W obecnych warunkach jest zresztą wyjazd do Zakopanego lub Krynicy połączony z innymi jeszcze wydatkami. Zbierają się tam rodziny wojennych milionerów, szumiące jedwabiami i obwieszone brylantami, niczem ruchome wystawy jubilerskie, szanująca się zatem osoba, chcąc nie chcąc musi się dostroić do tego samego kamertonu, a na to stać nie każdego.

A koszta pobytu także wcale przyzwoite. Jeden z lekarzy, właściciel pensyonatu w pewnem uzdrowisku, namawiał kronikarza, aby „dobrodziejkę wysłał z szanowną rodziną do jego zakładu“, dodając, że koszta całodziennego utrzymania wraz z mieszkaniem wyniosą nie więcej jak po sto mareczek od osoby, nie licząc nic za świeże powietrze, którego można używać do woli. Usłyszawszy takie *dictum acerbum* złapał się kronikarz za głowę (nie za kieszeń, bo ona pusta!...) i powiedział sobie, że, acz z bólem serca, ale w tym roku słomianym wdowcem nie będzie.

Zostaje wprawdzie pobyt na wsi, gdzie i swoboda większa i koszty nie są tak znaczne. Ale i tę ewentualność trzeba sobie wyperswadować, jeżeli się zważy, jaki stosunek panuje dziś między miastem a wsią. Mieszkaniec wsi patrzył się zawsze krzywo na mieszczucha, dziś niema go i za psie poszycie, uważając go zupełnie słusznie za głodomora i ostatniego rzędu dziadowoda. Gdzie dziś jakiemuś tam radcy równać się z panem Kasprem Pomietłą lub Wojciechem Kozikiem, w których wmówiono, że dziś chłopi rządzą Polską. Dawniej „ciarach“ był dla nich zerem, dziś to zero jest jeszcze większe i do tego przekreślone. A pani Kasprowa lub Wojciechowa, mająca złote zęby i myjąca się mydełkami za czterdzieści koron, uważałaby za dyshonor dla siebie i rodziny, gdyby miała wyświadczyć jakąś grzeczność (nie mówiąc już o posłudze!...) „miejskiej dziadówce, która przyjechała ich obeżreć“...

Nici zatem i z podróży na wieś, kochana Weroniko, o ile ci spokój miły i dbasz o swoje „wątłe“ nerwy — rzekłem do mej lepszej połowy, wszystko jej należycie wyłożywszy.

Czy to miało skutek?... spyta kto może. Nie!... Na wszelkie moje przedstawienia miała jedną odpowiedź, że zdrowie jej tego wymaga, że jestem tyranem, który ją chce przedwcześnie zapędzić do grobu.

Wytoczyłem zatem najcięższe działo i powiadam jej z tajemniczą miną, że sytuacya nie jest pewna, że każdej chwili trzeba być przygotowanym z jednej strony na napad Czechów, z drugiej Niemców, z trzeciej bolszewików, Ukraińcy nie są pewni, sześćdziesiąt milionów muzułmanów grozi Europie wojnę świętą...

I to ją jakoś przekonało, ale czy na długo, to dopiero najbliższa przyszłość pokaże.

Jak zatem dziś rzeczy stoją, nie pozostaje nic innego, tylko łykanie przez wakacye świeżego powietrza na plantacyach lub na błoniach, kąpiele w domowej łazience albo w Rudawie (przynajmniej nie potrzeba się obawiać, że rekin połknie człowieka!...), co się zaś tyczy wycieczek dalszych, to i pod tym względem nie brak nam urozmaicenia. Kto ma ochotę wybrać się „na południe“, może to bardzo łatwo uczynić i stosunkowo dość tanio, podróż bowiem tramwajem na Podgórze, leżące akurat na południu od Krakowa, kosztuje tylko dwie marki. Pozatem można zwiedzić bez trudu Smoleńsk, Kairo, Wenecyę, Metz. Dawniej mieliśmy jeszcze Plewnę, gdzie c. k. synowie Marsa zdobywali serca krakowskich kucharek, Port Artura i Madagaskar (spalił się w latach dziewięćdziesiątych.

A proszę mi pokazać najbardziej nawet zażartego podróżnika, który mógłby sobie pozwolić na odbycie w jednym dniu piechotą drogi ze Smoleńska do Metzu. Dla Krakowianina nie przedstawia to zaś żadnej trudności. Przed wojną można tam było wypić do tego litr wina austryackiego za pięćdziesiąt sześć centów, kto był zaś rozrzutnikiem, miał za ośmdziesiąt centów litr *Gumpoldskirchnera*... Nie tak to dawne czasy i minęły przecież bezpowrotnie, wspomina się je jednak z prawdziwą przyjemnością.

Zostanie zatem pani Weronika wraz z resztą rodziny w Krakowie przez lato. Tymczasem nadejdzie jesień, a wtedy trzeba już myśleć o zapasach na zimę, aby nie zginąć z głodu i mrozu.

A jesień już zagląda!... W piątek po Bożem Ciele przestał deszcz padać (kapnęło wprawdzie w samo południe, ale to była zdaje się resztka...), oziębiło się przecież, wobec czego można się spodziewać, że się spełnią przepowiednie owego meteorologa, który obiecywał mrozy na czerwiec, a my z tego żartowaliśmy. Tymczasem pokazuje się, że wojna nie była bez wpływu i na temperaturę, ale na tem wyszliśmy zupełnie tak, jak i na innych jej skutkach.

Co jednak najważniejsze, to okoliczność, że kieszeń kronikarza, jako ojca rodziny (choć dziurawa...), wyjdzie cało. Te pieniądze, które mogłyby być obrócone na koszta reperacyi zdrowia pani domu, mogą być użyte na inny cel. Kronikarz nosi się z myślą, aby je ulokować w pożyczce państwowej i zabawić się bodaj raz w kapitalistę, obcinającego kupony. W ten sposób chce dać przykład P. T. Czytelnikom, że powinno się pamiętać nie tylko o swych przyjemnościach, ale i o potrzebach państwa, które stale przypomina się pamięci obywateli, a oni jakoś tego nie słyszą.

Stwierdzić należy z przykrością, że w tych zwłaszcza kołach, które pożyczkę państwową powinni najwydatniej zasilić, bo mają na to, panuje dziwna ospałość. Nasi kapitaliści, jak gdyby nie chcieli lub nie mogli zrozumieć, że to nie tylko interes państwa, ale i ich własny. A owe władze, które tyle energii rozwijały przy propagowaniu austryackich pożyczek wojennych, jakoś nie dają znaku życia.

Warto przypomnieć, jak to funkcyonaryusze niektórych urzędów chodzili prawie od domu do domu, namawiali do subskrypcyi, a opornych straszyli wszelakiemi karami piekielnemi. A jak to taki pan chwalił się głośno, wiele tysięcy zebrał podpisów. A dziś?... Dziś się nie chwali, bo niema czem i z tego się pokazuje, że był lepszym Austryakiem, niż jest Polakiem. Smutne, ale prawdziwe!... Nasi panowie chorują stale na słabość piersiową, która polega na tem, że każdy chętnie widział jakiś orderek, wiszący na „zasłużonej“ piersi, bodajby on był w braku złota zrobiony z zarekwirowanego z naszych kuchni moździerza lub samowara. Tą gorączkę orderową znała ś. p. Austrya i umiała z niej skorzystać dla pobudzenia c. k. lojalności.

Możeby i nasz Rząd o tem pomyślał, bo to jeden z znajomych radców oświadczył niedawno kronikarzowi w konfidencyi, że „człowiek z wstążeczką w dziurce od guzika, jakoś inaczej się prezentuje i inni patrzą nań z większym szacunkiem“...

Stary duch austryacki tłucze się jeszcze po kątach i trzeba mu czemś gębę zatkać, młodsze pokolenie pójdzie już innymi torami!...

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. K., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko najwyższego trybunału świata:

```
E - i
N - l
a - a
S - s
I - n
S - n
e - a
k - s
O - o
n - w
E - a
```

Logogryf.

Ułożył S. Sokołowski, Rzeszów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę święta kościelnego:

```
  - ■ -
- - ■ - -
  - ■ -
  - ■ -
- - ■ - -
- - ■ - -
- - ■ - -
- - ■ - -
  - ■ -
  - ■ -
- - ■ - -
  - ■ -
```

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie, 2. Miasto na Wołyniu, 3. Drzewo szpilkowe, 4. Herb polski, 5. Polski pamiętnikarz, 6. Członek rodziny. 7. Miasto w Galicyi wschodniej, 8. Imię męskie, 9. Przyjaciel Mickiewicza, 10. Dopływ Dunaju, 11. Znany tłuszcz, 12. Zwierzę drapieżne.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Wilczyński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć ważną datę w dziejach Polski:

a, c, e, i, j, m, r, t, z.

Bilety wizytowe.

Ułożył M. Kaczorowski, Łódź.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

M. LAZAR.
IZ. JODEŁKO.
K. ALWO.
RE. WACIK.
SZ. WEC.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) E. Orzeszkowej: „Pan Graba“ powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 22

Grzebieniówka: Soła, a, Rawa, a, gama, o, sowa, s, Adam,

Zadanie do uzupełnienia: Toga, opal, mora, agat, sowa, zeta, Zola, Adam, Nero.

Okienko: azet, zamek, Tokaj.

Przysłowiówka: 1) Człowiek sądzi, a Bóg rządzi, 2) przyszła kryska na Matyska.

Bilety wizytowe: Wojewoda, Kasztelan, Podkomorzy, Senator, Hetman.

Łamigłówka: Rekonstrukcya gabinetu.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Sawicka Lwów, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, K. Balicka Tarnopol, J. Czernecki Jasło, Z. Sperling Lwów, L. Bogucka Warszawa, S. Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Lewińska Stanisławów, J. Kot Rzeszów, M. Wierzbicka Wadowice, W. Zajączkowski Lwów, R. Borda Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Waligórska Płock, J. Remer Sambor, B. Wiśniewski Łańcut, K. Borkowski Kraków, J. Gross Bochnia, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, S. Nowacki Lwów, W. Raczyński Kraków, S. Sokołowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, S. Kohn Stryj, M. Kaczorowski Kraków, J. Roland Kraków, M. Hiller Lwów, K. Łempicki Kraków, S. Samlicki Lwów, H. Weigel Jarosław, K. Radziszewski Warszawa, S. Grabowski Wadowice, A. Lipski Wiedeń, M. Zak Kraków, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Przemyśl, M. Kowalska Kraków, J. Nowak Drohobycz, K. Fijałkowski Kraków, L. Gartner Rozwadów, H. Dąbrowska Warszawa, W. Lange Toruń, H. Gruszczyński Tarnów, J. Zawadzki Kraków, H. Frasiński Bochnia, W. Szczudłowski Jarosław, K. Koźmiński Warszawa, J. Jaworski Lwów, S. Sokołowski Kraków, H. Ogibiński Sanok, W. Raczyński Kołomyja, M. Kot Rzeszów, W. Łucyk Lwów, A. Decowski Kraków, K. Wierzbicki Tarnów, T. Ostrowski Zakopane, M. Hanasiewicz Stanisławów, H. Obst Lwów, S. Nowiński Kraków, H. Kurek Przemyśl.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) H. Martynowicz Lwów (książka), 2) M. Wierzbicka Wadowice (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego